



Mama w Wielkim Mieście

Katarzyna Olubińska



Wydawnictwo
WAM

Spis treści

Początek nowego... • 7

Oczekiwanie • 17

Dominika Gwit-Dunaszewska • 31

Narodziny Mamy • 55

Klaudia Halejcio • 75

Pierwsze wschody słońca • 95

Kamila Szczawińska • 121

W chmurach • 151

Magdalena Lamparska • 169

Pierwsze kroki • 189

Monika Hoffman-Piszora • 215

Mądrzejsza mama • 245

Anna Czartoryska-Niemczycka • 259

Podziękowania • 295



Tę książkę dedykuję
mojej kochanej córeczce
Julii Marii.

Dziękuję, że jesteś w moim życiu
i czynisz je piękniejszym,
szczęśliwszym niż kiedykolwiek.

Wnieśliś w nasze życie miłość,
radość i światło.

Jesteś cudem, najdroższym skarbem.
Zawsze będę Cię kochać.

Mama

Początek
nowego...



Kiedy próbuję sobie przypomnieć swoje życie sprzed ponad roku – a dokładnie sprzed roku i dziewięciu miesięcy – a także wszystko, co wydarzyło się chwilę wcześniej, mam wrażenie, że widzę film o innej osobie. Wiem oczywiście, że to było moje życie, ale wszystko, co wtedy przeżywałam, wydaje się dziś tak odległe i inne od teraźniejszości, jakby było historią innej kobiety. Co takiego się wydarzyło? Zostałam mamą. Od tej pory wszystko się zmieniło...

Podobno kiedy przychodzi na świat dziecko, rodzi się też matka. Te wspólne początki nowego życia są przepełnione niewyobrażalną delikatnością, czułością, bliskością i tak bardzo inne od wszystkiego, czego wcześniej doświadczyłam, że trudno to opisać słowami. Licząc kolejne miesiące życia mojej córki, liczę też te pierwsze miesiące mojego nowego życia, innego spojrzenia na siebie, na to, co ważne, uczenia się siebie i wszystkiego od nowa. Dotyczy to zarówno rzeczy przyziemnych, takich jak: spanie, jedzenie czy korzystanie z prysznicy, jak i spraw dużo ważniejszych, jak: odkrywanie siebie, to, kim się dziś stałam, jak być mamą, żoną, jak odnaleźć się w związku, gdy pojawił się nowy członek rodziny, jak znaleźć czas dla tych, którzy też są dla mnie ważni, i jeszcze dla siebie, nie tracąc przy tym czasu dla dziecka. Jak w tym nowym, tak innym od poprzedniego, życiu pracować, podróżować, jak nie bać się porażek, jak kochać, jak być mądrą, silną, zorganizowaną mamą, jak zdrowo gotować, skąd wiedzieć, co na ząbkowanie, a co na kolkę, jaką dać odpowiedź na każde nowe wyzwanie, jak zdołać umyć włosy przed siedemnastą i jak chociaż raz w tygodniu wypić wreszcie ciepłą kawę.

Kiedy ktoś pyta, co zmieniło we mnie macierzyństwo, odpowiadam: „Zmieniło wszystko, wszystko przewartościowało”. Pewne sprawy zbłąkły lub w ogóle straciły na znaczeniu, inne przeciwnie – stały się NAJWAŻNIEJSZE. Kiedyś to moje potrzeby, pomysły i zachcianki były na pierwszym miejscu, dziś to ona – moja córeczka – wyznacza rytm mojego... naszego życia. Dawniej przejmowałam się różnymi kwestiami,

które dziś wydają mi się śmieszne. Dzięki Julce nabrałam dystansu i zarazem odwagi, żeby jeszcze lepiej niż dotychczas zawalczyć o dobre, piękne i bezpieczne życie. To dzięki niej doświadczyłam też granic swojej wytrzymałości, strachu i zmęczenia. Dzięki niej poznałam taki wymiar bezwarunkowej miłości i czułości, o którym nie miałam wcześniej pojęcia. Za jej sprawą stałam się kimś nowym. Przyjaciele twierdzą, że się nie zmieniłam – to chyba dobrze. Ja czuję jednak inaczej.

Zastanawialiście się kiedyś, skąd wzięło się powiedzenie: „Rozmawiać jak młode mamy w piaskownicy”? Myślę, że stąd, iż mamy małych dzieci łączy niewidzialna, ale wyczuwalna nić porozumienia. To doświadczenie, które zmienia i którego nie jest w stanie zrozumieć nikt inny poza mamami – choćby nie wiem jak się starał. Macierzyństwo otwiera nowe przestrzenie w sercu i w głowie, uruchamia całą gamę nowych pokładów empatii, troski, uważności i intuicji. Mamy to po prostu inny gatunek ludzi. Właściwie jak się dłużej nad tym zastanowić, to wygląda na to, że są one trochę nadludźmi. Wielozadaniowe, niezniszczalne, nie do zdarcia i zatrzymania, jeśli chodzi o dobro dziecka. Gorzej tylko idzie im z dbaniem o siebie. Gdybyśmy umiały być dla siebie chociaż w połowie tak dobre i troskliwe jak jesteśmy dla naszych dzieci... Bo przecież wszyscy potrzebujemy opieki, troski o siebie, wypoczynku, czułości.

Kiedy jeszcze nie byłam mamą, dostrzegałam je czasami z daleka, jak szły same z wózkiem na spacer. Przyglądałam im się z ciekawością, jak szły – jakby nieobecne, zamyślane, czasami mocno owinięte szalem, z oznakami zmęczenia, w codziennych, domowych ubraniach i z wielkimi torbami pełnymi butelek, smoczków, gryzaków, pieluszek i chrupek. Z niektórymi można było zamienić słowo, przywitać się, inne mijały mnie dyskretnie, jakby przebywały w innym świecie. Zanim zostałam jedną z nich, mijając je w drodze do pracy w eleganckiej sukience i ładnej fryzurze, czasem trochę im współczułam, a nawet czułam ulgę, że moje życie tak nie wygląda, że jest „ciekawsze”. Później zmieniło się to do tego

stopnia, że zaczęłam im zazdrościć. Zapraǳnęłam zostać mamą, choć nie było oczywiste, że moje marzenie się spełni...

Dziś jestem jedną z nich: biegnę bez makijażu i oznak długiego snu na twarzy, w wygodnym kucyku i dresie, łapiąc promienie słońca na spacerze i szepcząc pod nosem. Do kogo i o czym? Tak, kiedyś też się zastanawiałam, do kogo mówią mamy idące z niemowlęciem – czyżby do siebie? Teraz jest dla mnie jasne, że przecież rozmawiają z dzieckiem; co z tego, że ono jest malutkie. Sama robiłam to od początku: konsultowałam z córeczką listę zakupów, opowiadałam jej, co właśnie robimy i dokąd teraz pójdziemy, pokazywałam jej świat i tłumaczyłam go najlepiej, jak umiałam. Cieszyłam się, kiedy ona się cieszyła i objaśniałam jej nowe trudne emocje, kiedy na przykład była zmęczona i płakała. Mówiłam i mówiłam do tego „wózka” i nagaǳać się nie mogłam. I nigdy, przenigdy, nie byłam taka szczęśliwa!

Był czas w moim życiu, kiedy wydawało mi się, że takie zwracanie się do malutkiego dziecka jest dziwne, może nawet trochę infantylne. Wyobrażałam sobie, jaka to ja będę mądra i wszechwiedząca jako mama. Niemal mogłabym napisać poradnik o tym, jak moje dziecko będzie robić to czy tamto i czego ja jako mama na pewno nigdy nie popełnię. Dziś uśmiecham się na to wspomnienie. Macierzyństwo jest zaczynaniem i nauką od nowa – choćbyś nie wiem jak usilnie próbowała się do niego wcześniej przygotować.

Zanim zostałam mamą, nigdy w życiu nie trzymałam na rękach noworodka. Widziałam raz synka mojego brata – mojego chrześniaka Maciusia – jak przyjechali ze szpitala po porodzie, i to by było na tyle, jeżeli chodzi o moje doświadczenia z dziećmi zaraz po urodzeniu. Byłam po czterdziestce, miałam już za sobą całkiem sporo ciekawych podróży, imprez, koncertów, wywiadów, zrealizowany kurs sternika jachtowego i kurs pletwonurka, ale nigdy w życiu nie trzymałam na rękach niemowlaka. Wydawało mi się, że nie umiałabym go przewinąć, nakarmić,

a poza tym w ogóle niewiele wiedziałam o dzieciach, zwłaszcza takich malutkich. Jak ktoś tak mały i bezbronny miałby być całkowicie zależny ode mnie? Nie mieściło mi się to w głowie.

To normalne, że miałam obawy. Myślałam sobie: jaką będę mamą? Skąd będę wiedziała, czy mojemu maleństwu jest ciepło czy zimno, czy nie jest głodne i dlaczego płacze? Słyszałam, że mamy podobno rozróżniają płacz dziecka: wiedzą, kiedy płacze, bo ma mokrą pieluchę, a kiedy, bo jest głodne lub boli je brzuszek. Zastanawiałam się, czy naprawdę będę to wszystko wiedziała – i właściwie skąd? Tyle pytań i wątpliwości przychodziło mi do głowy, miałam miliard myśli na sekundę, ale jednocześnie zalewała mnie nieprawdopodobna radość i ekscytacja. Zostanę mamą!

Pamiętam, jak pakowałam torbę do szpitala i musiałam poszukać w Internecie, co to są pajacyki i czym właściwie różnią się od rampersów. Odtąd takich poszukiwań i pytań w kwestiach – nazwijmy to delikatnie – przyziemno-techniczno-organizacyjnych pojawiło się więcej. Ale były i dużo głębsze, ważniejsze... Tak, miałam ich codziennie całe mnóstwo, a zanim zdążyłam je zadać i wypowiedzieć, pojawiali się doradcy.

Z chwilą, kiedy zachodzisz w ciążę, przestajesz być anonimowa – każdy ma coś na ten temat do powiedzenia, skomentowania, ocenienia, choćby spojrzeniem; czasami bez sensu, czasami z rozczuleniem i wspomnieniem własnego macierzyństwa, a czasem też nieoczekiwanie dla dodania otuchy i otulenia dobrym słowem czy gestem. Takim przykładem była dla mnie starsza pani, która nagle ustąpiła mi miejsca – sama z siebie, nieproszona – w kościele na Służewie.

Macierzyństwo było dla mnie bez wątpienia jak nowy ład. Ponieważ kilka miesięcy wcześniej, zanim zaszłam w ciążę, nagle zabrakło mojej ukochanej mamy, która była dla mnie wielkim oparciem, nie miałam nawet komu zadać pewnych pytań. Zaczęłam więc rozglądać się po swoim



otoczeniu i szukać innych mam, zaczepiać je na spacerach, oglądać w sieci czy na Instagramie. Ściągnęłam sobie kilka aplikacji, dostałam trochę poradników, zapisałam się na mamine fora, oczywiście te o świadomym rodzicielstwie, i w pewnym momencie poczułam, że zaraz pęknie mi głowa – oszaleję z nadmiaru tych dobrych rad i patentów, i że właściwie wiem mniej, niż wiedziałam na starcie. Intuicyjnie przeczuwałam, że to ten rodzaj mądrości, która jest po prostu zapisana głęboko w sercu i można ją usłyszeć tylko w sobie, w ciszy, bez udziału osób z zewnątrz. Kiedy Julia pojawiła się na świecie, wiele moich pytań zniknęło, choć pojawiło się wiele nowych, ale była w tym wszystkim miłość i intuicja, które też bardzo skutecznie mnie poprowadziły.

Mimo wszystko jednak codziennie zastanawiałam się, jak postąpić, jak się zachować, co jest najlepsze dla mojej córeczki, jak to czy tamto robią inne mamy. Wtedy zrodził się pomysł na tę książkę: rozmów z kobietami mamami, przyjaznymi, mądrymi, takimi, które są na podobnym etapie macierzyństwa, co ja. Chciałam po prostu pogadać z kimś, kto mnie zrozumie – jak mamy rozmawiające w piaskownicy. Postanowiłam spotkać się ze znanymi mamami, które podziwiam, które lubię, które obserwuję w Internecie, które piszą o swoim macierzyństwie na IG, i zapytać je o ich mamine wszechświaty, o ich drogę macierzyństwa. Zdecydowałam się porozmawiać z tymi, o których wiedziałam, że mnie nie oceniają, nie wyśmiejają, nie zakpią z powodu czasami – wydawać by się mogło – banalnych pytań, które rozumieją i same przeżywają coś podobnego. Bo tylko mama rozumie mamę.

Pomyślałam, że będzie to też książka-pamiętnik dla mojej córki i dla mnie, kiedy te wspomnienia początku naszej drogi, intensywności uczuć i emocji z tym związanych, trochę się zetrą. W końcu pomyślałam, że będzie to też taka książka przyjaciółka dla każdej początkującej mamy, która czuje się na tej drodze podobnie jak ja: trochę zagubiona i czasami nieco samotna. I tak narodziła się *Mama w wielkim mieście*. Tę książkę pisało samo życie.

Osobny tom można by napisać o tym, co działo się przy powstawaniu tej książki: ile przygód, ile wpadek, ile kalendarzy musiałyśmy zsynchronizować, żeby to wszystko wyszło. Pierwsza rozmowa do książki odbyła się, kiedy po raz pierwszy zostawiałam córeczkę na dłużej niż trzy godziny. Mamy karmiące wiedzą, co to znaczy i jaki to stres. Druga rozmowa to z kolei pierwszy dłuższy spacer z wózkiem beze mnie. Nasza znajoma pani położna Dorota pomogła nam, żebym mogła przeprowadzić ten wywiad, i wzięła Julkę na spacer, ale mała płakała tak, że w końcu wróciła do nas z wózkiem, jak to się mówi, „na sygnale”, i rozmowę trzeba było zakończyć szybciej. Samo życie. Albo rozmowa, która się nie nagrała, bo ze zmęczenia i roztargnienia nie włączyłam dyktafonu. „Wcześniej takie rzeczy raczej mi się nie zdarzały!”, myślałam, łapiąc się za głowę. Każda rozmowa to inne emocje: między przewijaniem, ząbkowaniem, przeziębieniem a niewyspaniem...

Kiedy przychodzi na świat dziecko, cały świat się zmienia i wszystko zaczyna kręcić się wokół tego małego-wielkiego cudu. W tej niezwykle przygodzie czasami zapomina się, że kiedy przychodzi na świat dziecko, wraz z nim rodzi się też mama. W momencie, kiedy zostajesz mamą, cały twój świat zmienia się raz na zawsze. Od tej chwili już nic nie jest takie samo. To najpiękniejsza i jednocześnie najtrudniejsza podróż – codziennie rozpoczynająca się od nowa, pełna nowych małych i wielkich kroków, często nikomu poza mamą niezauważalnych cudów, trudnych wyborów, cudzych i własnych przekonań, oczekiwań, łez bezsilności i szczęścia.

Kiedy nocą wszyscy śpią i widzę światła w innych oknach, wiem, że jest nas więcej: dzielnych, zagubionych, dumnych, zmęczonych, szczęśliwych, wdzięcznych, przestraszonych, tych, które nie śpią i wciąż czuwają, gdy inni śpią, i tych, którym w końcu udało się zdrzemnąć i wypić łyk ciepłej kawy – mam w wielkim mieście.



Oczekiwanie

*Jesteś najlepszą mamą,
jaką możesz być!*



To był wyjątkowo cichy i jasny poranek. Tego dnia obudziłam się dużo wcześniej, zupełnie jakby mój Anioł Stróż wyrwał mnie wcześniej ze snu, żeby przekazać mi radosną nowinę. Wpatrywałam się w dwie kreski na teście, nie wiedząc, co powinnam teraz zrobić. Czekałam na ten moment tak długo, wyobrażałam go sobie tyle razy... O tę chwilę tak usilnie z mężem walczyliśmy: wyjazdy do kliniki naprotechnologii w Białymstoku, którą znalazł mąż, i wizyta u znakomitego lekarza Tadeusza Wasilewskiego, o którym znajomi mówili, że dokonuje cudów; dziesiątki badań, kuracji, leczenie; zmiany nawyków i kolejne próby; wszystko po to, żeby spełnić to jedno wielkie marzenie. Nie miałam już dwudziestu lat – skończyłam czterdzieści jeden. To, czy się uda, nie było takie oczywiste. Wiadomo – biologia. Rozumiałam to, ale w głębi serca i tak miałam nadzieję, że to pragnienie się spełni...

Gdybym mogła cofnąć czas, zdecydowałabym się na dziecko wcześniej. Dziś myślę sobie, że postarałabym się nawet o więcej potomstwa. Jednak tak to już w życiu bywa, że nie na wszystko mamy wpływ i nie każdą rzecz udaje nam się zaplanować tak, jakbyśmy tego chcieli. Dopiero z perspektywy czasu wszystko nabiera znaczenia. Kiedy teraz się zastanawiam, czemu nie zdecydowałam się wcześniej na bycie mamą, dociera do mnie, że – jeśli mam być szczerą – zostanie nią nie zawsze było moim głównym marzeniem. Są kobiety, które marzą przede wszystkim o tym – rozumiem to i szanuję. Ja natomiast nie czułam takiego mocnego instynktu macierzyńskiego. Wcześniej miałam też inne plany, pochłaniały mnie rozmaite wyzwania, głównie zawodowe. Bycie mamą spokojnie mogło poczekać. Marzyłam o ciekawym i pasjonującym życiu, o wywiadach i programach telewizyjnych, o podróżach i poznawaniu świata, o pisaniu książek, o miłości, a – wcześniej czy później – też o rodzinie. Lubiłam moją „wolność”, moje wypadki na weekend w różne zakątki Europy, wyjścia na ciekawe koncerty czy po prostu po to, by pozwiedzać okolicę. Wiedziałam, że kiedyś w końcu zostanę mamą, ale to „kiedyś” było dla mnie bezpiecznie odległym terminem. Pochłaniało mnie dużo innych

priorytetów i ważnych spraw, kolejne zawodowe wyzwania, wywiady, podróże, kursy, imprezy, rekolekcje – a macierzyństwo? Zeszło na dalszy plan. Na pewno nie czułam się gotowa, a może nawet się bałam. Czego? Miliona rzeczy: że sobie nie poradzę, że nie mam nic do dania, że to mnie przerośnie, że wpłynie na mój związek, że zmienię się nie do poznania, że będę jedną z tych wiecznie zmęczonych kobiet, które nagle znikają, kiedy zostają mamami, nigdy nie można się do nich dodzwonić, a jeśli już z tobą rozmawiają, to tylko o jednym. Nie rozumiałam tego. Miałam swoje bezpieczne, ciekawe, poukładane życie...

Pewnego dnia, jedząc po raz kolejny niedzielny obiad w restauracji w wagonie Warszawy, między jednym nagraniem a drugim, nagle odkryłam, że ludzi pracujących w hotelach i w pociągach znam już niemal jak domowników, a za to w moim domu w Warszawie nikt na mnie nie czeka – nawet pies. Dotarło do mnie, że niemal bez zająknięcia umiem wyrecytować menu w Warszawie, ale nie mam z kim podzielić się swoimi sprawami podczas tego obiadu. Uderzyło mnie, że moje życie, chociaż pełne ludzi, w gruncie rzeczy jest samotne. Zawsze otaczało mnie wiele serdecznych osób i nie brakowało mi towarzystwa, ale to nie było to samo. Lata miały, koleżanki zakładały rodziny, ich dzieci rosły, a u mnie wszystko układało się inaczej, niż to sobie kiedyś wyobraziłam i jak pragnęłam. Zawsze było bowiem we mnie marzenie o pięknej rodzinie. Tymczasem wakacje znowu spędzałam sama... W końcu, kiedy straciłam już wiarę, że może być inaczej, i nawet w jakimś stopniu zaakceptowałam ten stan, wszystko się zmieniło. Zakochałam się, a moje dotychczasowe życie nabrało nowego sensu. Chwilę po tym zaręczyliśmy się z Jackiem i wzięliśmy ślub. Właśnie wtedy stało się dla mnie jasne, że to jest ten moment. Z całego serca zapragnęłam zostać mamą.

Jak to w życiu bywa, każda decyzja ma swoje konsekwencje i wszystko dzieje się w wyznaczonym czasie. Jeśli wierzysz w Opatrzność, to ufasz, że wszystko dzieje się w najlepszym czasie i że jesteś pod opieką. Wierzę, że dobry Bóg nie stracił z oczu mojego życia. Tylko co wtedy, kiedy

już postanowisz, że czegoś pragniesz, odważysz się wypowiedzieć na głos swoje pragnienia, a okazuje się, że to wcale nie jest takie proste...? Mijają dni, miesiące, lata, a marzenie się nie spełnia. Twoja wiara zostaje wystawiona na wielką próbę.

Tak właśnie było u mnie. Kolejne miesiące mijały, a upragniony wynik na teście się nie pojawiał. Po raz kolejny była tylko jedna kreska. Nie poddaliśmy się jednak – zaufaliśmy Bogu i lekarzom. Przeszliśmy chwile zwątpienia i łez, kolejne miesiące walki i modlitw o cud. „Czy Bóg testuje moje granice?” – myślałam wtedy. I znowu – kiedy już prawie całkowicie zwątpiłam i straciłam nadzieję, okazało się, że jestem w ciąży.

Ten moment widziałam wiele razy w filmach. Z reguły ona kupuje małe buciki i chcąc mu przekazać radosną nowinę, nieoczekiwanie daje mu je w prezencie, uśmiechając się przy tym wymownie, a on chwilę milczy, po czym podskakuje z radości, bierze ją w ramiona, przytula mocno wzruszony i oboje płaczą ze szczęścia, chociaż jeszcze przed chwilą o coś tam się kłócili.

Przypomniała mi się ta scena, kiedy stałam w łazience boso, w piżamie, i wpatrywałam się w dwie kreski na teście ciążowym – totalnie zaskoczona, nie wiedząc, co mam teraz zrobić. Był wczesny październikowy poranek, a mąż spał za ścianą w najlepsze, nie wiedząc, że nasze życie właśnie nieodwracalnie się zmienia. Tego dnia miałam w planach wyjazd za kilka godzin na nagranie do Krakowa; nie kupiłam jeszcze biletu, tymczasem ani rozkład jazdy pociągów, ani czekające telefony i sprawy nie były w tej chwili istotne. Czas się nagle zatrzymał, a cały świat wydał mi się niespodziewanie daleki i nieważny.

Stałam sam na sam w ciszy poranka z moją tajemnicą: najważniejszą i najbardziej wyczekaną wiadomością w historii świata. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Udało się – zostaniemy rodzicami, będę mamą! Radość z tej niesamowitej wiadomości była tak ogromna,

że nie da się jej opisać. Chciałam tę chwilę zapamiętać na zawsze. Nie wiem, jak długo tak stałam i nie pamiętam wszystkich myśli w mojej głowie w tamtym momencie, ale jedna wydawała się najważniejsza – to było niedowierzanie pomieszane z radością tak wielką, że aż nie mieściło się to wszystko w sercu. Tyle razy wyobrażałam sobie ten moment, tak bardzo czekałam, walczyłam, tak długo błagałam dobrego Boga, chociaż kończyła mi się już wiara, że się uda. W końcu Bóg nas wysłuchał... To cud, prawdziwy cud!

Słońce wpadło do łazienki, łaskocząc mnie po twarzy i wyrывая z zamyślenia i potoku emocji. Za chwilę ta wiadomość przestanie być tylko moją tajemnicą. Za moment moje, nasze życie nieodwracalnie się zmieni. Już się zmieniło – tylko na razie wiem o tym wyłącznie ja... Radość, wdzięczność i niedowierzanie zalewały moje serce.

Weszłam do sypialni i obudziłam męża. Przestraszył się trochę, widząc mnie zapłakaną, i zapytał, czemu już nie śpię. Nie mogłam mówić, tylko pokazałam mu test. Zatkąło go. Momentalnie się obudził i wyskoczył z łóżka. Cudownie było dzielić się tą radością i widzieć wzruszenie najpierw mojego Jacka, później Sylwii – bliskiej, a dawno nie widzianej koleżanki, którą przez przypadek spotkałam w pociągu, rodziny, przyjaciół, nawet pani położnej, która przeprowadzała ze mną ankietę medyczną, kiedy zapisywałam się na badania potwierdzające wynik i której na standardowe pytanie, czy to pierwsza ciąża, musiałam wręcz wykrzyczeć z radości: „Taaaaaak!”. Oczywiście zaraz opowiedziałam też w kilku zdaniach, jak bardzo na nią, na tą małą Kruszynekę czekaliśmy, aż w końcu, kiedy pierwszy raz wypowiedziałam tę historię, głos mimowolnie mi zadrżał...

Nie zapomnę też radości całej ekipy jednej z restauracji w Krakowie, do której poszliśmy tamtego wieczoru na mały posiłek. Kiedy wróciłam z łazienki do stolika, wszyscy już mi gratulowali, bo mąż, który miał mi po prostu zamówić herbatę, nie wytrzymał i zapytał, jaką herbatę



może pić kobieta w ciąży, bo „żona jest w ciąży” – rozgłaszał dopiero co poznaną nowinę, a miała to być nasza tajemnica! I tak posypały się gratulacje od wszystkich kelnerów i kelnerek oraz gości siedzących przy najbliższych stolikach... Widziałam, jak bardzo Jacek się cieszy. Ja też się cieszyłam, choć zdarzały mi się momenty, że nie umiałam o tym mówić w pewny i odważny sposób. Trochę tak, jakbym ciągle nie dowierzała?

A jednak trudno było utrzymać w tajemnicy to szczęście. Radość po prostu sama się z nas wylewała i pamiętam z tego czasu dużo niesamowitych emocji, kiedy ktoś się dowiadywał. Na przykład moja przyjaciółka Małgosia po usłyszeniu wiadomości zaczęła wręcz krzyczeć ze szczęścia, a później się popłakała, siedząc ze mną w samochodzie na parkingu – wzbudziłyśmy tym zainteresowanie przechodniów, ale kto by wtedy o tym myślał...

Były też takie momenty, kiedy kolejna osoba prawiała mi komplement, że tak ładnie wyglądam i błyszczę, że oczu nie da się ode mnie oderwać. Tymczasem moje samopoczucie na tym pierwszym etapie ciąży było dalekie od blasku, mówiąc wprost: nie najlepsze. Często, zwłaszcza rano, czułam się okropnie, miałam mdłości, wstręt do zapachów i doskwierało mi poczucie zmęczenia, które zwałało z nóg. Tymczasem mimo to dostawałam takie komplementy i wbrew wszystkiemu wyglądałam kwitnąco. Pamiętam, że te słowa padały zwłaszcza ze strony mężczyzn. Byłam zdumiona – na czym niby polega ten blask, po czym go widać? Czy to świeci tajemnica? Czy po prostu tak promienieje szczęście?

Będę powtarzać w nieskończoność, że to szczęście było przeogromne i nie do opisania. Postanowiłam zawierzyć naszą córeczkę Maryi i tak zrobiliśmy: poleciliśmy ją na warszawskim Służewie, w kaplicy Niepokalanej, w towarzystwie zaprzyjaźnionego dominikanina ojca Krzysztofa Pałysa, którego spotkaliśmy „przypadkiem”, kiedy pojechaliliśmy do kościoła podziękować za nasz cud. Ponieważ zawierzylimy naszą Kruszynekę – tak ją nazywaliśmy – pod opiekę Maryi, to ufałam, że dziecko będzie

szczególnie przez Nią chronione. To był jeden z powodów, dla których dostała na drugie imię Maria (otrzymała je też ze względu na pamięć o mojej mamusi Marii Jolancie). Chociaż wierzyłam, że jest w najlepszych rękach i w głębi serca byłam spokojna, to czasami wracało do mnie niedowierzanie, a momentami także lęk o córkę. Bardzo czekałam na koniec pierwszego trymestru, aż minie wszystko, co niepokoiło lekarzy i mnie, bo mimo aktu zawierzenia bywało, że martwiłam się, czy wszystko będzie dobrze, czy dzieciątko urodzi się zdrowe, a poród przebiegnie bez powikłań. Tyle już słyszałam przeróżnych trudnych historii od koleżanek, tyle się naczytałam, a córeczka była przecież taka malutka i bezbronna...

Głęboka intuicja podpowiadała mi, że to będzie dziewczynka – wiedziałam to i czułam tak naprawdę od zawsze. Czułam to całym sercem, chociaż żaden lekarz jeszcze tego nie potwierdził.

Jednym z pierwszych badań, które zadziałało jak kubek zimnej wody po tych emocjach i czasie całym w skowronkach, była diagnoza, której nawet nie chcę wspominać: test PAPP-A. Chyba nigdy nie płakałam tak jak po nim – właściwie wyłam, stojąc na parkingu przed przychodnią z wynikami w ręku tuż po lakonicznej i krótkiej wizycie u ginekologa, czekając na męża i przytulając brzuch, jakbym mogła coś tym zmienić. Ta chwila to teraz tylko wspomnienie, a wszystko, czym straszyl nas wtedy lekarze, na całe szczęście się nie spełniło.

Podobnych momentów grozy było potem jeszcze kilka, a zwłaszcza jeden sygnał ostrzegawczy, kiedy przeciążyłam organizm i okazało się, że mogę ją stracić... Na domiar złego byłam poza miejscem zamieszkania, więc szybko szukaliśmy lekarza i pomocy w obcym mieście. Udało się, mój Anioł Stróż się spisał. Jednak po tych wydarzeniach nabrałam pokory i ostrożności. Pierwszy trymestr okazał się nerwowy, dostałam też nieoczekiwane i wyraźne zalecenie, że muszę zwolnić, dużo leżeć i odpoczywać. Inaczej to sobie wyobrażałam; myślałam, że będę aktywna

zawodowo przez całą ciążę. W końcu, jak mówią, „to nie choroba”. Nie oszczędzałam się więc – przeprowadzałam wywiad na żywo na lodowisku, a później jechałam nocą rozpędzonym autem na granicę, na rozmowę o uchodźcach. Pamiętam, że padał wtedy mocny deszcz, a mnie przyszło do głowy, że narażam nie tylko siebie. Moje życie zawodowe wiązało się wcześniej nierozzerwalnie z podróżami – to było jedenaście lat w ciągłej drodze, w dzień i w nocy, w niedziele i święta, w czas covidu czy nie – a teraz w ciąży też próbowałam żyć tak, jakby nic się nie zmieniło. Okazało się, że tak się nie da. Nagle i to musiało się zmienić dla dobra mojej córeczki; prowadząca ciążę lekarz ginekolog powtarzała mi to kilka razy, jakby nie do końca ufając, czy rozumiem jej słowa, ale ja tym razem je przyjęłam i wzięłam sobie głęboko do serca. Na niczym nie zależało mi bowiem tak, jak na tym, żeby zadbać najlepiej o moją małą córeczkę, którą oglądałam z niedowierzaniem na kolejnych USG – patrzyłam, jak się wierci, jak bije jej serduszko i jak pięknie się rozwija.

Myślę, że mogę śmiało powiedzieć, że z tego pierwszego etapu ciąży pamiętam głównie moją kanapę. Kiedy tylko mogłam, leżałam na niej, przerywając leżenie częstymi wizytami w łazience; w końcu leżałam też dość często w łazience, z przerwami na kanapę. Pies warował koło mnie, wiernie mi towarzysząc, z pyskiem przytulonym do brzucha i wsłuchanym w małe, kruche życie. Obserwował mnie bacznie i pewnie nie rozumiał, dlaczego jego pani wszystko robi odwrotnie niż dotychczas – na przykład nie jest w stanie nałożyć psu jedzenia (wiadomo – drażniły mnie zapachy) i co chwilę biega do łazienki. Stan zwany błogosławionym okazał się dla mnie stanem generalnie dość wstrząsającym. Poranne mdłości trwały właściwie cały dzień, a zjeść byłam w stanie najwyżej bułkę lub krakersy, o których gdzieś wyczytałam, że łagodzą mdłości, zwłaszcza jeśli spożyje się je na czczo, więc mąż stawiał mi je przy łóżku.

Drugi trymestr był jak wschód słońca po trzymiesięcznej burzy i nastał zupełnie inny czas. Można było w końcu odetchnąć spokojnie i zacząć

śmiało mówić i cieszyć się z tego, co nadchodzi. Mogłam też gdzieś polecieć, więc zrobiliśmy sobie rodzinny wypad do Barcelony. Mimo że to był marzec, słońeczko świeciło już na tyle śmiało, że mogliśmy zjeść śniadanie na świeżym powietrzu w jednej z knajpek z widokiem na morze i barwny tłum ludzi. Cieszyłam się każdą chwilą, spacerami, smakami, kolorami morza i kształtami fasad kamienic wijących się fantazyjnie w drodze do Sagrada Familia. To był beztrudny i dobry czas, chociaż właśnie w Barcelonie po jednym z takich spacerów doświadczyłam kolejnej ciążyowej przypadłości: stopy spuchły mi do rozmiarów, których nie powstydziliby się Fiona, narzeczona Shreka, i ta opuchlizna została ze mną praktycznie do porodu. „Taka uroda”, jak stwierdziła jedna z pań położnych po kolejnym badaniu. Przyznaję, że było z czego żartować.

Moje ciało się zmieniało. Na aplikacji w telefonie czytałam kilka razy dziennie, w którym dokładnie momencie ciąży jesteśmy, ile centymetrów ma nasza Kruszyńka i jak się teraz zmienia, co się właśnie kształtuje i jak to na mnie wpływa. Przeczytałam gdzieś o syndromie wicia gniazda – podobno mamy doświadczać go na pewnym etapie. Co za niedorzeczność, myślałam dotąd. Aż pewnego dnia obudziłam się i po prostu mnie dopadło! Zaczęliśmy urządzać pokój, malować (tzn. my kupiliśmy farby, a malował mój brat), zamawiać w Internecie ubranka, kocyki i butelki, czytać listy wszystkich rzeczy, które mają mi być niezbędne. Do dziś niektóre z nich pozostały zresztą nieotwarte. Internet wiedział już, że będę mamą, bo reklamy rzeczy „niezbędnych” dla dzieci i sugestie różnych stron, poradników, firm i aplikacji pojawiały mi się wszędzie i o każdej porze. Czułam się nimi wręcz bombardowana. Więc tak to jest, myślałam. Wiadomo, że ludzie wydadzą na dzieci wszystkie pieniądze. Zresztą, jak patrzyłam na siebie z boku, to nieźle bawiło mnie to całe malowanie, ustawianie komody z przewijakiem i łóżeczka o specjalnym materacyku i powłoczce, monitora oddechu (którego nigdy nie użyłam) i podgrzewacza do butelek, i wanienki... Nie mogłam wyjść z podziwu, jak ktoś tak mały może przemeblować całe mieszkanie i mieć tyle przedmiotów, zanim jeszcze pojawi się na świecie.

Niemniej jednak dawało mi to szczęście. Zwyczajnie cieszyłam się z tych przygotowań i nocami zamawiałam kolejne śpiworki do snu, pieluszki, czapeczki i wszystko z listy do mojej torby do porodu. Później piszczalam z radości na widok kuriera, otwierałam kolejne zamówienia, prałam ubranka w specjalnych płynach i prasowałam. Koleżanki się śmiały i pytały, po co prasuję... A ja chciałam, żeby wszystko było wyprasowane, pachnące i pięknie przygotowane na jej przyjście.

W końcu pokój był gotowy: w komodzie leżały wyprasowane bodzianki, sweterki, skarpetki, czapeczki, otulacze i pieluszki, w przedpokoju czekał wózek, a w naszej sypialni stało łóżeczko. Szkołę rodzenia sobie odpuściłam. Jeszcze tylko sesja zdjęciowa i *baby shower*, który mi się marzył, a który koleżanki przygotowały mi naprawdę niemal w ostatniej chwili – i czułam się gotowa na jej przyjście.

Chociaż był to dopiero początek czerwca, zrobiło się już bardzo upalnie. Chodziłam w jednych ogrodniczkach lub sukience na zmianę, bo w nic innego już się nie mieściłam, a moje stopy powiększyły swoją objętość tak, że czasami pożyczalam klapki męża i ostatecznie zmuszona byłam kupić sobie nowe, tyle że o rozmiar większe. Mimo iż z reguły wszędzie się spóźniam i pakuję wszystko na ostatni moment, torbę do szpitala przygotowałam z wyprzedzeniem i włożyłam w to całe serce. Spakowałam się do ulubionej różowej walizki, którą kilka lat wcześniej Jacek przywiózł mi z Londynu. Oprócz rzeczy dla Małej i innych przedmiotów z listy – posegregowanych w kosteczki i spakowanych w osobne woreczki – oraz ubrań dla siebie włożyłam do walizki ikonkę Matki Bożej niosącej w chustce, różaniec od ojca Pałysa, ulubione zdjęcie z mamą i białego pluszowego króliczka jako pierwszy prezent dla mojej córeczki. Tak zapakowana zostałam przywieziona przez męża przed wejście do szpitala. Mimo porannej pory było już gorąco, a powietrze pachniało kwiatami. Zanim weszłam do budynku szpitala, na chwilę się zatrzymałam i popatrzyłam w niebo. Wiedziałam, że kiedy za kilka dni wyjdę do domu, to niebo nabierze nowych kolorów i odcieni – wszystko będzie już inne.

